

Ewelina Solich (z d. Brzeźniak)

nauczyciel języka polskiego

Ulica Kasprowicza w Raciborzu – nie najdłuższa ani najpiękniejsza, ale dla mnie bardzo ważna. Jest rok 1986 i właśnie rozpoczynam naukę w I Liceum Ogólnokształcącym im. J. Kasprowicza. Stoję i patrzę na budynek z czerwonej cegły... Jest duży, groźny i wcale nie wygląda zachęcająco. Jestem przerażona! Jeszcze nie wiem, że właśnie tam wszystko się zacznie...

To chyba stres spowodował, ale potrafię przypomnieć sobie zapach szkoły. Specyficzny, bo przecież na parterze była palarnia i gabinet chemiczny, w którym Profesor Wojdałowa próbowała nauczyć nas chemii. Z koleżanką Iloną nie rozumialiśmy wiele, ale świetnie sprzątałyśmy zaplecze. A kwas masłowy o mało nie pozbawił nas węchu na dłużej. Na parterze jakiś czas mieliśmy również matematykę z Profesorem Śnigurskim. Ze stoickim spokojem tłumaczył nam, humanistom, zawiłości matematyczne, a zapach palonej przez Profesora fajki uspokajał. Kamienne schody prowadzące na kolejne piętra wydawały się takie ogromne! Zastanawiałam się często wędrując na lekcje, ileż to osób w długiej historii budynku musiało już się po nich wspinać! Ale my przechodziliśmy żwawo, żeby się nie spóźnić. Profesor Knauer na biologii bardzo szybko uzmysłowił nam, że nie potrafimy obsługiwać mikroskopu i dla zapalonego biologa przestaliśmy dobrze rokować. Na geografii u Profesor Majewskiej mapa zawsze była dla mnie za duża i każdy semestr zaczynałam od 2 (wtedy odpowiednik oceny niedostatecznej). W pierwszej klasie geografii mieliśmy w poniedziałek. Pamiętam, bo niedzielne popołudnie spędzałam z atlasem. Tylko Jurek był świetny z geografii...

Niezapomniane były lekcje historii. Profesor Motyka wykladał z wielkim zapalem. Jego wiedza bardzo mi imponowała. Nie korzystaliśmy z żadnych podręczników! Profesor przychodził z nieodłącznym wiecznym piórem (jednym z wielu, bo kolekcjonował) i opowiadał. Notatki przechowuję do dziś, a o Napoleonie mogę sporo opowiedzieć.

Profesor Kolosko utwierdził mnie w przekonaniu, że chcę jednak zostać polonistką. Jego klasa była piękna – z prawdziwą katedrą i starymi ławkami. Siedziałam w ostatniej i musiałam bardzo długo iść do odpowiedzi. Najbardziej nowoczesna była klasa Profesora Radeckiego. Kabin do nauki języka! Słuchawki! Monitory! I my w tych kabinach próbujący mówić po rosyjsku. Profesor Radecki był naszym wychowawcą. Nie powiem - trochę się Go bałam.

Na ostatnim piętrze, tam gdzie kończyły się schody, było królestwo Profesora Wielochy. Pan od PO. Naprawdę się staraliśmy! Bywało śmiesznie, bywało strasznie. „Maski włóż” - koszmar. Bandażowanie, rzut granatem (niedostateczny!) Bieg z noszami. Sanitariuszki to ja i Jola. Ranna była Gosia. Start z parteru, bieg po

całej szkole. Na szczęście Gosia nie była w stanie krytycznym i po zejściu z oczu Profesorowi na własnych nogach dotarła do mety. Dzięki temu nie oblałyśmy!

Świat w 1986 r. był zdecydowanie mniejszy. Dla mnie na pewno. Ta duża szkoła z czerwonej cegły z kamiennymi schodami zafundowała mi masę stresu i strachu, ale była moim pierwszym oknem na świat. Potem już wiedziałam, że sobie poradzę. Tam zaczęło się moje dorosłe życie. Tam zdecydowałam, że też chcę uczyć i robię to od 26 lat. I w końcu – to tam narodziły się przyjaźnie na całe życie. Niektóre nieco przyprószył na chwilę czas, bo studia, bo dzieci, bo praca... Ale powroty bywają wspaniałe. Asiu, Halino, Gabrysiu, Olu – cieszę się, że Was spotkałam. Stojąc przed szkołą 1 września 1986 r. nie wiedziałam, że to będą niesamowite 4 lata!